Nr. 21. Lwów, 1. listopada 1901. Rok XXIV.

# ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

## Wyprawa myśliwska Hr. JÓZEFA POTOCKIEGO do Sudanu.

(Dalszy ciąg).

Słuchałem tego opowiadania, pijąc szybko ranną herbatę. Przygotowania nasze do wyprawy trwały krótko i dobrze jeszcze przed wschodem słońca byliśmy gotowi do marszu.

Wyprawę oprócz nas dwóch i Stefana składali: disseński Mohamed, prowadzący konwój jako tropiciel, dalej czterech naszych shikarich — Ahmed Idris, Abdallach, Mohamed, i Ibrahim — służący kairski, Ahmed Hasaballa i Fadil w charakterze strzelbonośców; wreszcie jeden z poganiaczy wielbłądów, gdyż wielbłąda wziąć trzeba było z zapasem żywności i wody na wyprawę, z której mogliśmy wrócić dopiero następnego dnia. Oprócz tego przyłączyło się do nas 11-tu derwiszów disseńskich, dosiadających ognistych rumaków i uzbrojonych w długie lance i miecze. Zarówno oni, jak i nasi łowcy byli zupełnie nago, tylko w biodrach nosili wąską przepaskę. Przypuszczam, że groźne niebezpieczeństwo, z jakiem jest połączone polowanie na słonie, skłoniło ich do tego, gdyż nagie i śliskie ciało daje gwarancyę swobodniejszych ruchów wśród kolczastych gąszczy, aniżeli ubranie, o które zaczepiają się z łatwością ciernie dżunglowe. Ten jednak sposób polowania w ubiorze Adama i Ewy dostępny jest tylko dla miejscowej ludności; europejczyk dziesięciu kroków nie byłby w stanie zrobić, wśród strasznych, cierni akacyowych.

Zarówno my dwaj, jak i łowcy nasi, pojechaliśmy także konno, a Stefan dosiadł swego kłapoucha. Długa i szybko prowadzona wyprawa na silnym skwarze słonecznym, wykluczała możność pieszego marszu. Tylko

Ibrahim, Ahmed, Hasaballa i Fadil poszli piechotą, jak również *sais* hrabiego — Mohamed.

Przodem pojechał disseński Mohamed, jako trzymający tropy; za nim trzech shikarich w charakterze kontrolerów i konsultantów w miejscach, gdzie ślady były wątpliwe; potem hrabia, ja i reszty wyprawy.

Okrążając jeziorko, po drodze zajechaliśmy do zeriby hrabiego z ze zdziwieniem spostrzegliśmy, że osiełek, zagryziony przez panterę, znikł jak kamfora. Widocznie drapieżnik, po odejściu hrabiego porwał go i zawlókł w gąszcze; musiał jednak sporego źrebaka na grzbiet zarzucić, gdyż nie było najmniejszych śladów, aby go wlókł po ziemi. Nie mieliśmy czasu, zastanawiać się na tym wypadkiem, więc ruszyliśmy raźno naprzód.

Wkrótce też dojechaliśmy do miejsca, którędy słonie do wody schodziły. Była to głęboka i wąska wyrwa, w dość stromym brzegu doliny; stąd też pojechaliśmy już tropami, które zrazu prowadziły wysokopiennym, lasem akacyowym, po gruncie suchym, popękanym i głęboko podziurawionym dołami, jakie słonie wybijają swemi nogami, w porze dżdżystej, kiedy teren jest rozmiękły. Wkrótce jednak dostaliśmy się do pasa wzgórz i głębokich parowów, a stąd wkroczyliśmy do typowej dżungli z czerwonokorą akacyą.

Ślady słoni spotykaliśmy na każdym kroku: świeżutki pomiot, który jeszcze nie miał czasu obeschnąć, połamane drzewka, porozrzucane tu i owdzie gałęzie. Mohamed jechał ciągle truchtem, a i my za nim musieliśmy się tego tempa trzymać. Tylko w miejscach, gdzie się tropy rozwidlały, zatrzymywał się na jedno mgnienie, lecz wnet ruszał dalej z tą nieporównaną wprawą doskonałego tropowca. W zachwyt wprawiał nas ten czarny Sudańczyk, tropiący szybko i pewnie, po spalonym i twardym gruncie wypalenisk, na których odcisk nóg nawet takiego olbrzyma, jak słoń, był prawie niewidoczny, a w każdym razie niezmiernie trudny do odróżnienia od starych, kilkodniowych tropów.

Wkrótce też wyszły na wierzch, ujemne strony towarzyszenia nam, całej czeredy derwiszów. Większość ich dosiadała ogierów, a że w orszaku naszym było też i kilka klaczy, więc nic dziwnego, że pierwsze z nich ciągłem rżeniem, objawiały swe miłosne zapały. Irytowało to słusznie hrabiego, który za każdym razem odwracał się w stronę eskorty i grożąc pięścią, wymyślał Sudańczykom, na czem świat stoi.

— Ja wiem, o co tym durniom chodzi — rzekł do mnie. Oni chcą stado otoczyć i słoniom tylne nogi popodcinać.*) Ale ja im nigdy na to nie pozwolę.

Jechaliśmy tak od kilku godzin i słońce zaczęło nas już przypiekać swymi, palącymi promieniami. Hrabia odwracał się, od czasu do czasu, w moją stronę i wyrażał wątpliwość, czy Mohamed trzyma się dobrego tropu. W samej rzeczy, pomiot i porzucone gałązki spotykały się coraz rzadziej; widocznie słonie w tem miejscu posuwały się już szybciej, a że miały przynajmniej 4 godziny awansu przed nami, więc i szansa dogonienia ich była dość słaba. Nie było jednak innej rady, jak spuścić się zupełnie na znawstwo naszych prowodyrów. Niemniej wszelako, jeśli nie zupełne zwątpienie, to przynajmniej wątpliwość, zaczęła się wkradać do naszego umysłu.

Wyjechaliśmy właśnie na dość obszerne wypalenisko, gdy naraz Hasaballa, który biegł przy koniu hrabiego, zatrzymał nas ruchem i wskazując nieco na lewo, rzekł szeptem: „Fil" (słonie). Na to magiczne słowo, skierowaliśmy oczy, we wskazanym kierunku i w rzeczy samej dojrzeliśmy w odległości jakich 400 kroków, wśród gąszczu kilka wyniosłych, czarnych mas. Zeskoczyliśmy szybko z wierzchowców, hrabia nabił swój cal. 450, ja — paradoks cal. 10; lecz nasi starzy łowcy wyrazili pewną wątpliwość, co do istoty samych mas czarnych. Jakoż po wyegzaminowaniu ich przez lornety, okazało się, że były to gniazda termitowe. Po tem, emocyonującem *intermezzo*, ruszyliśmy dalej.

Około godziny 11-tej, czyli po 5 i pół godzinach nieustannego i szybkiego marszu, hrabia zaordynował postój, aby zwierzętom i ludziom dać wytchnąć. Nadzieja dogonienia słoni osłabła bardzo i nawet sami łowcy nie byli absolutnie pewni, czy się trzymają dobrego tropu. Nie chcąc jednak zaniechać pościgu, przed ostatecznem przekonaniem się, postanowiono, że gdy my będziemy odpoczywali i śniadali, trzech shikarich — Mohamed disseński, Abdallah i mój Mohamed — pójdą trzema różnymi tropami, a w razie, gdyby który z nich słonie dogonił, wróci i nas powiadomi.

Rozsiedliśmy się tedy, w dość skąpym cieniu akacyowego drzewa. Stefan i Ahmed rozłożyli przed nami zimną zakąskę, którą też z prawdziwym apetytem spożywaliśmy, słuchając tłómaczonych nam przez Ahmeda opowiadań naszych Arabów o wojnach mahdistowskich. Mój shikari, Ibrahim, pokazywał nam swe rany, otrzymane w bitwie pod Omdurmanem, Fadil zabawnie naśladował ruchy i chód Kitchenera i tak nam czas szybko płynął. Po śniadaniu uszykowałem 11-tu derwiszów w szyku bojowym, aby przy pomocy zdjęcia fotograficznego, przekazać ich obraz potomności. Okazało się jednak potem, że wszystkie klisze z mojego aparatu były przetrzymane, prawdopodobnie wskutek wadliwego nastawienia migawki.

Była godzina 12-ta, gdy ukazał się zziajany Abdallach, oznajmiając, ze słonie dogonił i widział je na oko. Nie było czasu do stracenia. Zostawiwszy przeto cały orszak wraz z końmi, wielbłądem i osłem na miejscu, udaliśmy się we dwóch piechotą, mając za przewodnika Abdallę, oraz kilku ludzi do niesienia broni. Hrabia miał Hasaballę i Fadilla; ja sam niosłem paradoks cal. 10, gdy Ahmed wziął mego mannlichera, jako broń zapasową. Towarzyszył nam także Stefan z colindyanem.

Szliśmy bardzo szybko za Abdallą, mimo, że skwar był dokuczliwy. Ostatnia nadzieja była dogonić słonie, podczas ich postoju południowego, bo gdyby ruszyły naprzód, wymknęłyby się nam bezpowrotnie. Po półtora godzinnym, takim marszu forsownym, Abdallah wskazał nam w milczeniu, mokre miejsce. Słonie musiały być blisko, bo inaczej woda wyparowałaby szybko, pod palącymi promieniami słońca. Jakoż o paręset kroków od tego miejsca, Abdallah zatrzymał nas i skinąwszy na ludzi, aby się nie ruszali, poprowadził nas obu chyłkiem.

---

*) Ten rodzaj polowania był w powszechnem użyciu w Sudanie, przed zaprowadzeniem praw ochronnych, a i dziś jeszcze praktykuje się na terytoryum Abisynii. Zwykle, w czasie takiego polowania, kilku z łowców opłaca życiem swą odwagę.

i nadzwyczaj ostrożnie na prawo od słoniowej ścieżki, którąśmy się posuwali. Zrobiwszy ze 20 kroków, stanął i wyprostował się ostrożnie, a my obaj poszliśmy za jego przykładem.

Chwili tej, chyba nigdy w życiu nie zapomnę. Przed nami, w odległości ledwie kilkudziesięciu kroków, stały w cieniu sporego drzewa akacyowego kolosy, wachlując się swemi, potężnemi uszami. Wiele ich było, nie mogliśmy na razie obliczyć, gdyż wysoka trawa zakrywała nam je w znacznej części. Jeden tylko, największy, stał do nas bokiem, tyłem zwrócony do pnia drzewa: inne, tuż przy jego łbie, zwrócone były do nas przodem, czy tyłem — nie wiedzieliśmy na razie, gdyż tylko ich potężne, szare grzbiety wynurzały się z wysokiej trawy. Stały spokojnie, drzymiąc; nie podejrzywały widocznie naszej obecności.

Zaledwie je spostrzegliśmy, gdy hrabia szybko zmierzył się ze swego cal. 450. Brała mnie ochota strzelać także do największego z kolosów, którego bok cały był dla nas widocznym, lecz przypuszczając, że hrabia tylko tego mógł brać na cel, wstrzymałem się, aby podobnie jak ze lwem, nie spowodować, trudnej do roztrzygnięcia spółki. Do innych znów nie chciałem ryzykować strzału, nie wiedząc, czy przodem, czy tyłem są do nas zwrócone. Nie miałem też czasu do żadnych refleksyj, gdyż w tej chwili rozległ się strzał suchy, krótki...

Słonie zmięszały się na jedno mgnienie, lecz w tej chwili spostrzegliśmy, że zwróciły się ku nam. „Szarżują na nas“ — rzekłem do hrabiego. Lecz on, zmieniwszy z niepospolitą przytomnością umysłu wystrzelony nabój, już się zmierzył do przodem idącego i szybko raz po raz, strzelił... Po drugim strzale, prowadzący szarżę kolos osunął się tylko, jakby mu kto odrazu wszystkie cztery nogi podciął...

Lecz za nim szedł drugi, ten największy. Nie zatrzymując się, ominął trupa swego towarzysza i prosto ku nam sunął!...

Niebezpieczeństwo było groźne, to też bez chwili namysłu, poczęliśmy uciekać, o ile nogi mogły wystarczyć; przedemną biegł Abdallah, za mną hrabia. Reszta ludzi tak się rozbiegła, że ich nawet nie widziałem; tylko Stefan stał na miejscu, a gdyśmy go minęli, strzelił z obu luf i sam począł uciekać.

Przebiegłszy kilkadziesiąt kroków przystanąłem, aby zobaczyć co się dzieje i ujrzałem hrabiego, jak zwrócony, znów dwa razy strzelił: przy nim był Hasaballa. Rozległo się straszne, przenikliwe trąbienie, jakby głos syreny na parowych statkach. Rozjuszony zwierz, z trąbą do góry podniesioną, sunął prosto ku nam.. Poczęliśmy znów uciekać. Oglądam się i widzę, jak hrabia znów przystanął i strzelił z obu luf, tym razem prawie *à bout portant* w chwili, gdy go słoń o kilka kroków mijał.

Teraz ja byłem bezpośrednio na jego drodze. Zrozumiałem szybko, że uciekając ścieżką, nie zdążę ujść pogoni strasznego zwierza: więc bez namysłu skręciłem w bok, aby się ukryć w wysokich trawach: lecz zaledwiem zrobił kilka kroków, gdy noga wpadła mi w niewidzialny wśród roślinności dół i rozciągnąłem się jak długi. W tej chwili usłyszałem tuż, tuż za sobą przenikliwe trąbienie, głos straszny, przejmujący, który mi śmierć zwiastował... Jezusie, Maryo! — pomyślałem — ostatnia godzina moja nadeszła“... Zerwałem się szybko, aby zwrot jaki rozpaczliwy zrobić, lecz z radością usłyszałem tylko oddalający się łoskot i łamanie gałęzi. Słoń minął mnie, groźne niebezpieczeństwo przeszło. I dziś nie wątpię prawie, że życie moje zawdzięczam w tym razie nieprzewidzianemu upadkowi, dzięki któremu, skryłem się przed słabym wzrokiem kolosa.

W jednej chwili zbiegliśmy się na tropach uchodzącego zwierza: dość obfita farba znaczyła je wyraźnie. Ruszyliśmy też gęsiego w przypuszczeniu, że może zwierz leży gdzie niedaleko. Miejscami widać było kał, krwią zafarbowany, coby pozwalało przypuszczać, że słoń dostał postrzał przez kiszki. Lecz zwierz uszedł widocznie daleko. Zrobiwszy więc kilkaset kroków, wróciliśmy do zabitej szuki. Gdyśmy do niej podchodzili, wysunął się naprzód Fadil, który w podobnych wypadkach widocznie głowę tracił i z odległości kilku kroków strzelił jeszcze do nieboszczyka, wydając przytem nieludzkie krzyki. Naśmieliśmy się później z tego epizodu, bo chłopak ze zbytniego ferworu, chybił na tak krótki dystans, olbrzymiego zwierza. Zobaczymy w przyszłości, jak ten sam Fadil, w podobnych warunkach, zepsuł hrabiemu strzał do stada bawołów.

(D. c. n.).

(*Łowiec polski, Sztolcman*).

# NA GODACH JELENICH.

Napisał

A. hr. Sumiński.

Około godziny dziewiątej z rana stanęliśmy szczęśliwie w schronisku, do którego droga, prowadząca po wybojach i kilka razy przez potok górski, wysłany kamieniami, nie nadaje się ani do resorów, a jeszcze mniej do rysaków. Wysłuchawszy szczegółowego raportu pobereżników dowiedzieliśmy się, że jelenie ryczały przez pięć dni, dniem i nocą, dwa dni pauzowały, a obecnie słychać je przeważnie w nocy, nad ranem zaś i wieczorami porykują. Rozpakowawszy manatki, podzieliliśmy się, jak zwykle meblami tymi samymi, a składają się one z dwóch prycz, kilku desek służących za półki, dwóch ławek i kilku gwoździ do wieszania ubrań; szafa zaś i stół, wszystko to z białego drzewa, do wspólnego służyły użytku. Na ławkach siadać trzeba na środku, gdyż usiadłszy przez zapomnienie na końcu, znaleść się można nie przy stole, ale pod nim. Przebrawszy się w szaty myśliwskie, zasiedliśmy do mapy, w celu podzielenia się terenem i ustanowienia jego granic według tejże, by sobie wzajemnie nie przeszkadzać. Przez ten czas Karol, który wczoraj tu z prowiantami przybył, zawzięcie gotował obiad. O ile zeszłego roku zupy mu się wcale, a wcale nieudawały i nic dziwnego, bo ku-

charzem nie jest, o tyle w tym roku gotował on doskonale, prawie z zamiłowaniem, a nawet puszczał się, na potrawy tu niebywałe. Kalafiory, pomidory, buraczki, pieczenie, kotlety, zrazy, pstrągi z wody z kartoflami i z masłem, kompoty z jabłek i śliwek, to zupełnie nie żarty!

Że wybieraliśmy się do dalszych części rewiru i na noc do koleby, zaopatrzywszy się w prowianty odpowiednie, wkrótce każdy ruszył ze swą drużyną w drogę. Schronisko leży na wstępie do kniei, niedaleko wsi huculskiej, z której rekrutowały się nasze drużyny i rekwirowało się artykuły spożywcze.



Szybkim krokiem posuwałem się pod górę, a że słońce dotkliwie operowało, więc płuca i nogi pracowały. Choć pot spływał po twarzy i do wypoczynku ochoty nie zbywało, to jednak drapałem się wyżej i wyżej, aż wreszcie dotarłem do grzbietu, po którym szedłem już raźno w głąb kniei, ku kolebie. Przystawałem chwilami nadsłuchując, lecz darmo: jelenie milczały, jak zaklęte. Już dobrze było po piątej, gdy dotarłem do rozległej polany, roskoszując się z wysokości cudownym widokiem. Ta perspektywa, pagór za pagórem, ten las, który zdaje się nie ma końca, ten koloryt drzew jesiennych, to wspaniałe widowisko, panorama natury, którą odtworzyć nie byle kto potrafi. Z tej zadumy, nad arcydziełem Mistrza, zbudził mnie głos, głos potężny, dziki, jak te góry, w których się rozlega, głos dobrze mi znany. To król tych pagórków, wyzywa przeciwników do walki, w imię miłości. Ryknął długo, przeciągle, potem dwa razy krótko, jeszcze raz króciej i zamilkł. Echa odbijają ten głos o stoki, niosą go z pagórka na pagór i leci on hen... światami. Cicho... Czyżby głos ten, tak znany był współzalotnikom tej kniei, a razy wieńca, tak dotkliwie ranią, że nikt już do walki wystąpić nie śmie? Zaczyna się cisza wieczorna, przerywana, raz po raz głośnem porwaniem słonki, ciągnącej na żer, to znów przeraźliwym głosem sowy uralskiej, a zmierzch zwiastuje bliską noc. Zdala dochodzą dwa głosy, już dobrze ryczących jeleni, a tu na stoku przedemną znów ryknął i uciekł. Zbliżał się do mnie, lecz za ciemno już było na spotkanie, szaro już i zimno się zrobiło, udałem się więc do koleby, dokąd ogień zapraszał mnie z dala. Wietrzyk bawił się płomieniami, naginając w tej igraszce ogniste języki na wszystkie strony, to znów dmuchając kłębami gryzącego dymu prosto w oczy. Leżałem w kolebie na gałązkach jodłowych, spożywając zapasy: u nóg moich z trzaskiem i sykiem paliło się ognisko, w koło zaś niego ugrupowali się huculi w swych malowniczych strojach, szepcąc ze sobą przytłumionym głosem. Księżyc w pełni z całym orszakiem gwiazd spoglądał na tę malowniczą scenę. Wkrótce potem ułożyłem się do snu, lecz do północy i oka zmrużyć nie mogłem. Niedaleko koleby, ryczał jeleń nieustannie z małemi pauzami, raz nawet tak blisko, że słyszałem jego kroki i zerwałem się na równe nogi, lecz mimo jasności nocy, widzieć nic nie mogłem. Ta muzyka nad muzykami trwała do północy, a wtórował jej puhacz swoim przeraźliwym puhu-hu-hu. Niestety, nad ranem raz jeszcze odezwał się jeleń, ale już daleko, a gdy jasno robić się poczęło, ucichł; moje przewidywania sprawdziły się. Chodziłem i nadsłuchiwałem w tym kierunku, gdzie jeleń poszedł, lecz daremnie. Ogromne „kupadła", jak huculi nazywają, świadczyły, że niedawno tu jeleń chłodził swe rozpalone członki, kąpiąc się i tarzając w błocie. W części mego szwagra, słyszałem kilka głosów, które echo do mnie przyniosło. Czas było powracać, szedłem tym samym grzbietem, spuszczając się coraz to niżej. Około ósmej, jeden z huculów usłyszał niedaleko pomrukiwanie jelenia. W chwilę potem usłyszałem je i ja także: porykiwał on mniej więcej w połowie stoku, po którego grzbiecie się posuwałem. Oto szkic terenu, w jakim się tu manewruje.

Proszę wybrazić sobie dwa stoki, duże, wysokie ściany pochylone, które tworzą ze sobą kąt prawie ostry, każdy z nich ma po paręset morgów. W samym dole, na dnie, przedzielone są potokiem. Na nich rośnie las odwieczny, który sam się odnawia. Kłody ogromne zwalone i zmurszałe, często po trzy, tuż za sobą, tamują szybkie poruszenia, gdyż przez nie przeprawiać się trzeba powoli i z wysiłkiem. Spód zasłany suchymi liśćmi bukowymi, gałęźmi i gałązkami, często klocami i drągami, których pęknięcie nieraz człowieka do rozpaczy doprowadza. Jeżeli dodam do tego, że cały ten stok ma znów najróżnorodniejsze w sobie zagłębienia, idące z góry na dół, żłoby, które miejscami są paryami, a na których dnie sączy się potoczek, a wszystkie skierowane do ścieżek jelenich prostopadle, prowadzących przez te wertepy, w paryach zaś znów zwalone drzewa i kamienie, to nic dziw się czytelniku miły, że jeżeli posuwasz się za jeleniem, lub ku niemu, pot rzęsisty, jak woda z ciebie leci, płuca pracują, jak miechy kowalskie, tętna w skroniach biją, jak młoty i zdaje ci się nieraz „już dalej nie mogę". Wtem jeleń znów ryknął niedaleko, zapominasz o wszystkiem, posuwasz się dalej, byle bliżej, byle tylko zobaczyć. Lecz i to nie zawsze wystarcza, można zobaczyć, a nie strzelić! Do tego znów przyczyniają się podrosty, z których nie jedna tam jodełka uschła, na której jeleń rogi swe wycierał, obnażywszy ją do większej polowy z kory i znowu olbrzymie buki, jodły lub smereki, zakrywające swym pniem grubym, upragniony widok komory i przód rogala.

Kiedym usłyszał wspomnianego już jelenia, słońce było wysoko i dobrze prażyło promieniami. Zostawiwszy huculów na górze począłem, jak mogłem najszybciej zbliżać się do jelenia, miejscami biegąc, to znów przeprawiając się mozolnie przez zwalone staruchy, raz w dół, raz w górę, a teraz już ostrożnie zbliżałem się, mając jelenia na jakich 200 kroków przed sobą. Dopadszy jakiejś ścieżki jeleniej, pośpieszyłem po niej i stanąłem, nadsłuchując. Wtem ujrzałem na jakich 80 kroków między bukami, stojącego jelenia, tak, że przód i głowę miał zakrytą. Złożyłem się lecz strze-

lić nie chciałem, raz, że zdawało mi się za daleko, a powtóre, że nie wiedziałem, czy to łania, czy jeleń, i co za jeleń. Cicho było parę minut, wtem ruszył i odezwał się równocześnie, ale i znikł za drzewami. Wiedziałem teraz, że jeleń sam. Znów ryknął, dalej posunąłem się ku niemu z jakie 100 kroków, aż tu gałąź trzaska mi pod nogą, a w tem za bukiem ujrzałem, jak skoczył i raptem na 50 kroków stoi przedemną, wpatrzony we mnie, oko w oko, wspaniały jeleń. Niestety widziałem tylko głowę, pół wieńca i trochę karku, reszta za drzewem. Staliśmy na chwilę, ja złożony czekając, że lada chwila zobaczę bok — do głowy strzelać nie chciałem — w tem skoczył nie naprzód, lecz w tył i w lewo, tam gdzie miał zakrycie. Atkając uciekał przerażony, a gałęzie trzaskały pod ciężarem kolosa. Usiadłem znużony, spocony jak mysz, w skroniach mi waliło, jak młotem, żal było jelenia -- cała wyprawa męka i praca daremna. Jeleń za szlachetne jest zwierzę, ryjką małą z potoczkiem, w którym naturalnie kamieni nie brakowało. Chcąc się przeprawić, zrobiłem krok naprzód niebacznie, potrąciłem o kamień, który spadając na inne, łoskotu narobił. W tej chwili usłyszałem w klombie trzaskanie gałęzi i jeleń poszedł po raz drugi tym razem bez atkania. Nie długom się zastanawiał, a wybierając, jak szło najlepiej, pędziłem na dół, aby się wydrapać na drugi pagór, do tamtego, który rozryczał się na dobre. Gdym nareszcie doszedł do potoku w głębi, przeprawiwszy się po kamieniach, zacząłem piąć się do góry. Jeleń zaś, którego przez chwilę nie słyszałem, znów odezwał się kilka razy, posuwając się jednakże dalej. Po jakimś czasie i różnych przeprawach, dotarłem do niego na strzał i choć teraz cicho posuwał się naprzód, dojrzałem łani i on również mignął mi się przed oczami, a że ucichł zupełnie, dałem za wygraną. Nie usiadszy, lecz upadszy na ziemię, wypoczywałem z pół godziny po tej forsownej wyprawie. Jeden z huculów



aby strzelać do niego lekkomyślnie, lub niewłaściwie Począłem drapać się w górę z powrotem. Tak szedłem z 200 kroków, nagle słyszę za sobą, ryczy dobrze, bez przestanku, ten sam jeleń. Nie długo myśląc, biegnę z powrotem jak szalony. Po jakimś czasie znów byłem przy nim, sądząc po głosie, niedaleko. Wtem, o dziwo, na przeciwległym stoku odezwał się drugi, głosem grubszym porykując. Tamten jak się pokazało później, łanię miał przy sobie, ten zaś podczas swej ucieczki po spotkaniu ze mną, przypuszczam wiatru od niej dostawszy, zaczął na nowo ryczeć. Kiedym się zbliżał już ostrożnie, przestał on głosić, za to tamten naprzeciwko, rozpoczął nieustającą muzykę. Tymczasem jeleń pierwszy stać musiał w klombie gęstych podrostów i czy mnie zwietrzył, i przez ostrożność milczał, czy też imponował mu przeciwnik, dość, że cisza z tej strony trwała z 10 minut, a ja sądząc, że jeleń posunął się dalej, chciałem się zbliżyć. Odcięty byłem od wspomnianego klombu pa-posuwał się za mną zdala, następnie usiadłszy, w połowie stoku, czekał. Gdy jednak usłyszał atkanie pierwszego jelenia, a potem ryczenie drugiego, domyślił się moich operacyi i posuwał się, mniej więcej, równolegle do mnie, po swojej stronie. Z tego to powodu, po kilku moich przeciągłych gwizdnięciach odezwał się, a po dobrej chwili, przyszedł do mnie.

Mój szwagier, którego zastałem w schronisku, spotkał się również z jeleniem, źle mu się jednak pokazał i strzelać nie mógł. W nocy zaś dwa jelenie tak blisko jego koleby się tłukły, że słychać było, jak wieńcami biły o siebie.

Jednego dnia spotkałem dobrego rogacza na strzał, a że wcześnie jeszcze było po południu, jelenie nie ryczały, skusił mnie więc i strzeliłem. Parostki wysokie, lecz cienkie na górskiego, zresztą normalny i duży, to jednak ciekawe, że miał dwie białe plamy na szyi.

Nareszcie nadszedł ranek upragniony, szaro jeszcze

było. gdy usłyszałem niedaleko jelenia. Podążyłem naturalnie w tę stronę. Porykując, szedł on powoli nie w prostej linii, lecz łukami, raz w prawo, raz w lewo. Posuwałem się drożyskiem i blisko niego byłem, lecz gąszcze zakrywały go zupełnie. Cisza trwała dość długo, ja zaś myśląc iż poszedł dalej, posunąłem się naprzód, on tymczasem przeszedł za mną przez drożysko w gąszcze, po drugiej stronie tegoż. Hucuł zaś idący z daleka za mną, zobaczywszy go, był w desperacyi. Nie małe też było moje żdziwienie, gdy usłyszałem znów głos jelenia, tym razem niespodziewanie za sobą, dość nawet już daleko, a za chwilę hucuła, biegącego do mnie, z wyrazem rozpaczy na twarzy i o gestach desperata. Pędem biegąc tą samą drogą z powrotem, zbliżyłem się tak do jelenia, że słyszałem gałęzie trzaskające, a widzieć go nie mogłem. Zbliżał on się do drożyska w ten sposób parę razy, widocznie chcąc się przedostać napowrót, na tamtą stronę. Tak towarzyszyłem mu z pół godziny. Nareszcie zatrzaskało blisko mnie i wyłonił się z gąszczów ogromny przód jelenia, na jakich 40 kroków. Stanął, położył rogi po sobie i zaczął z cicha ryczeć. W tej chwili padł mój strzał, a jeleń zwalił się z łomotem i trzaskiem. Stałem w miejscu, czuj duch, słuchając i patrząc na krzaki, poruszające się na wszystkie strony, w które jeleń agonizujący walił to rogami, to raciami, leżąc na boku. Jak twarde to zwierzę, dowodzi, że siedziałem przy niem dwie godziny według zegarka, a ciągle żyło poruszając to wieńcem, to raciami, choć coraz słabiej. Kulę miał wyżej komory. Gdym się nareszcie zbliżył do niego, spojrzał na mnie tak złemi oczami, że skoczyłem szybko, chwyciwszy silnie za rogi lewą ręką, a prawą zakłułem go kordelasem. Dobry ten szesnastak doczekał się towarzysza, gdyż tegoż samego ranka zabił mój szwagier również pięknego szesnastaka. Pracowaliśmy na te jelenie, prawdziwie w pocie czoła, przez tydzień i radość w schronisku była nadzwyczajna, a opowiadań bez końca.

Pewnego wieczora szedłem powoli ścieżką jelenią, gdy nagle zobaczyłem jarząbka siedzącego *à bout portant* na gałęzi, który ciekawie mnie się przyglądał, przekrzywiając głowę to w lewo, to w prawo, dopiero, gdym lufy do niego wyciągnął, że prawie dotknąć, odleciał z oburzeniem. Tego wieczora dzikie gęsi, a potem żórawie żegnały nasze strony, krzycząc hałaśliwie i monotonnie, a masy ich były niezliczone. Kiedy już ciemno się robiło, zrywały się grzywacze, popłoszone całemi stadami, wypoczywając oczywiście w podróży, zapadszy tu na nocleg. Tak nadszedł pierwszy październik, dzień, w którym doczekałem się fatalnej katastrofy. Dowiedziawszy się, że jeleń ryczał z rana, w najbliższej części mego rewiru, która jest stosunkowo wygodna, gdyż zrąb w niej zmusił do robienia kilku dróg, wybrałem się tamże. Jedna z nich dolna, druga górna, a trzecia średnia. Dolna ciągnie się nad potokiem, za którym znów pagór, a względnie jego stok. Było zaledwie w pół do czwartej, gdy usłyszałem jelenia, po raz pierwszy, na tym stoku przeciwległym. Posuwał on się naprzód, porykując niedbale, ja zaś równolegle z nim, po drodze. Zbliżywszy się do jednej prawie wysokości, nie schodziłem z drogi, raz, że na tak zwanym zrębie z powodu chaszczy, maliniaków i gałęzi, cicho poruszać się nie można, powtóre, że jeleń zbliżał się do potoka. Doszedł też do niego rycząc i ucichł. Potok był przedemną, a właściwiej podemną, na jakie 100 kroków w dół. Chwilę cicho było, wtem kamienie staczają się z tamtej strony do wody, gałęzie trzaskają, oznajmiając zbliżanie się zwierza. Nareszcie zeszedł on cicho do potoka, czego ja widzieć nie mogłem, stanął w nim i ryknął tak potężnie, że się góry zatrzęsły, poczem wyszedł i zaczął piąć się ku mnie. Chwileczkę widziałem jego wieniec, kołyszący się i wierzch głowy, potem znikł i cicho. Oczekiwałem z bijącem sercem, bo lada chwila spodziewałem się go na lewo, lub na prawo, przygotowany do strzału. Towarzyszący mi hucuł, który pozostał w tyle nieco, wyżej odemnie, a leżał na ziemi, wstał i powoli zbliżył się do mnie, oznajmiając, że jeleń już tuż był podemną, lecz zawrócił i powoli potokiem odszedszy, znikł. Musiał mnie zawietrzyć, bo choć cicho stałem i wiatr miałem dobry, między takimi stokami nad wodą, wiatr wiecznie wiruje. Jeleń poszedszy już się nie odezwał, a mnie żal go było serdecznie.

Po chwili przedostałem się przez zrąb, ścieżką jelenią, nie zbyt wygodną, na drogę górną. Tu nastąpił mój zagadkowy dramat. Zaledwie uszedłem kilkadziesiąt kroków, słyszę, ryczy jeleń drugi w górze, z tej strony. Zbliżał się on powoli do zrębu. Siedziałem pod ogromną jodłą, słysząc go jednak bliżej, ze względu na wiatr, zesunąłem się kilkanaście kroków niżej i tu przy pniu przykucnąłem. Raptem wychodzi łania z cielęciem, przesuwa się luką, jaką miałem między nasiennikami przed sobą, na zrąb dalej, gdzie w podrostkach bukowych stanęła. Za chwilę tym samym śladem jeleń. Złożyłem się, oparszy sztucer na pniu, a gdy stanął na zrębie, w luce, wymierzyłem dokładnie. Jeleń stał spokojnie na 86 kroków, jak później liczyłem, bokiem do mnie, a wyciągnąwszy szyję, zaczął ryczeć. Światło było jeszcze dobre, zaledwie kwadrans na szóstą, strzeliłem. Było to nie blisko, o zbliżaniu jednak, lub podchodzeniu i mowy być już nie mogło, a to z tego powodu, że łania zobaczywszy mnie, postawiwszy uszy, patrzyła na mnie zaciekawiona, chodząc prawie na miejscu, podnosząc przytem badyle wysoko, jak koń cyrkowy. Po strzale łania z cielęciem pomknęły jak strzały przed siebie, jeleń zaś spiąwszy się w górę, skręcił na miejscu, jakby padając, zwrócił się tam, skąd przyszedł, chyląc się, jakby się walił, zawadzając o wszystko z trzaskiem. To trwało parę sekund i cicho. Widząc go chwileczkę, jak chylił się i zrywał, chciałem biedz, by poprawić. Naraz cisza, sądziłem, że leży, ulokowałem się więc na pniu, z którego strzelałem i czekam, pełen błogiego spokoju i zadowolenia. Byłem tak pewny siebie, że byłbym przysiągł, iż jeleń leży. Po 20 minutach, że cicho było zupełnie, idę do niego przekonany, że dawno skończył. Przychodzę, nie ma, przeraziłem się, patrzę dalej, nie ma, więc na strzał, szukam farby — nigdzie, ani jednej kropli. Mimo dokładnego szukania w pobliżu, nie znalazłem ani farby, ani jelenia. Ściemniało się tymczasem odłożyłem więc sprawę do jutra, przekonany ciągle, że znajdę go za dnia. Nazajutrz, wziąwszy kilku ludzi, szukaliśmy raz przy razie, daremnie, jelenia nie było, przepadł bez wieści. Co się z nim stało, nie wiem i zostanie to dla mnie zagadką. Dlaczego farby nie było, dlaczego znaczył tak wyraźnie po strzale, przewracał się, walił: że kulę dostał nie wątpię ani chwili i nie gdzieindziej, jak wprzód. Trzymałem spokojnie z pnia, jak do tarczy, a ośmdziesiąt sześć kroków —

nie, koniec świata! Jak to martwi i boli, to zrozumieć nie trudno.

Byłem zdesperowany, a że żal mi go będzie zawsze, tego potężnego rogala, to wiem z pewnością. W tych wertepach podnieść zwierza, który nie został w ogniu bez dobrego tropowca, to przypadek i szczęście! Tak twardy zwierz, jak jeleń, mógł, z dobrą nawet kulą pójść światami. Stąd morał dla mnie, aby od zasad nie odchodzić i strzelać do jelenia nie dalej, jak na 40 kroków.

Mój szwagier tymczasem bawił się, jak król. Oto wyszedszy rankiem, usłyszał jelenia i zaczął go podchodzić. Jeleń przestał ryczeć, a że wydrapał się na stok i zmęczył przytem, gdyż ściana to bardzo przykra, więc usiadł i wypoczywał. Siedział tam dobrą chwilę, hucuł przy nim, na miejscu otwartem, wtem słyszy trzask z góry, a wkrótce zjawia się na krawędzi stoku łania z cielęciem, które powoli do niego się zbliżają. Łania staje bardzo blisko, przypatrując mu się długą chwilę, nareszcie odchodzi, skubiąc liście z buka i staje niżej. Niedługo potem wyłania się jeleń, dobry czternastak, na jakie 50 kroków. Po strzale, całe towarzystwo znika w szalonym pędzie. Mój szwagier siedzi spokojnie na tem samem miejscu a w kwadrans później słyszy, idzie coś. Wyłania się jeleń, posuwający się powoli śladem łani, mając nos na śladzie. Dochodzi do mego szwagra na 6 kroków, staje przypatrzyć mu się, oko w oko, całą chwilę, a że ten siedzi jak skała, odchodzi powoli, tropem łani. Nie dość na tem, w miejscu, gdzie łania po strzale skoczyła, gubi trop, wraca po raz drugi do mego szwagra, znów staje przed nim, fiksując go dokładnie raz jeszcze na, wyraźnie, sześć kroków, następnie odchodzi powoli, znajduje ślad i znika. Był to wprawdzie dwunastak, ale słaby i dzięki temu, żyje po dziś dzień. Ponieważ transport tego jelenia stąd, był możliwy do schroniska, przeto jeleń ten zjechał na saniach zaprzężonych w parę wołów, mój szwagier zaś, przyszedszy wcześniej rozpromieniony, zastał mnie już tutaj przybitego i zdesperowanego, opowiadając z werwą całe zdarzenie i spotkanie z jeleniami.

# Przygoda z niedźwiedziem.

Napisał J. MARTYNIEC.

Razu pewnego, około 3-ciej po południu, przybiegł zdyszany pastuch do swego chlebodawcy, z wieścią, że koło polanki „Czerteż“, leżącej o jakich 800 kroków od pomieszkania owego chłopa — niedźwiedź wziął jednego, dużego barana z pomiędzy trzody, odniósł kilka kroków do lasu i tam swobodnie konsumuje.

Prawie każdy hucuł w górach, ma — a raczej miał, strzelbę — dziś już mniej jest hucułów strzelców i myśliwych — to też i ów chlebodawca, nazwiskiem Iwan Starun, chwycił puszkę, nabił kulami i pobiegł do mysia. Gdy przyszedł do niego na 40 kroków, myś wcale nie uciekał, lecz tylko mruczał. Iwan zaś wymierzywszy dobrze, wypalił raz i drugi. Niedźwiedź przewrócił się, począł strasznie ryczeć i tarzać się, poczem wstał i oglądając się ciągle na Iwana i jego pastucha, poszedł wolno. Chłop zaś, nie taki skory był do opuszczenia zdobyczy, więc ruszył zaraz z pastuchem za nim, a idąc, nabijał strzelbę. Niedźwiedź zawsze się na nich oglądał. Gdy Starun puszkę nabił — tylko jedną lufę — puścił się nieco prędzej i dopadszy na 50 kroków do mysia, ukląkł, wymierzył i posłał mu trzecią kulę. Mysio ryknął słabo i w jednej chwili był koło chłopa, który klęcząc, porwał strzelbę za lufy i chciał się tak bronić, lecz tylko raz uderzył nią niedźwiedzia po łapie i połamał oczywiście łoże na kawałki. Tymczasem niedźwiedź przypadł do niego, przewrócił i tak jakoś to ułożył, że złapał w paszczę kolano razem z jedną ręką, podniósł do góry i począł z chłopem uchodzić, a ten mu w paszczy, ciągle krzyczał na pastucha „ej brate Semene, ne



daj zabybaty“, lecz ten nie mając nic w ręku, nic mu pomódz nie mógł, tylko krzyczał i szedł za nim.

Mysio, uniósłszy chłopa z 50 kroków, postawił na ziemię, poczem zaraz chwycił, w innem miejscu, w paszczę i dalej niósł, który to manewr powtarzał kilkanaście razy, poczem o jakich 400 kroków, od miejsca porwania, padł razem z chłopem i więcej się nie ruszył. Jak się później okazało, wszystkie trzy kule miał na komorze i pomimo tego jeszcze tak daleko szedł, chłop zaś ma jeszcze po dziś dzień, 52 większych i mniejszych blizn, prawie po całem ciele od mysich kłów. Niezawodnie chłop byłby zginął, gdyby nie mocny, szeroki trzos — jaki huculi zawsze noszą, a którego osłabiony mysio nie mógł tak łatwo porwać, dlatego skończyło się na tem, że Iwan odleżał swą popędliwość, przez 11 miesięcy!! Iwan Starun mieszka w Maksymcu, gmina Zielona, powiat Nadwórna i jeśli kto chce, to mu pokazuje odznaki, przez mysia darowane na pamiątkę.

Dodać muszę, że od tego czasu, ma bardzo wielki respekt przed niedźwiedziem, bo jak mu w roku 1880 mysio krowę ubił, to przyszedłszy po mnie, bym szedł na zasiadkę, bezwarunkowo nie chciał ze mną siedzieć, gdybym był z sobą rewolweru nie wziął, który jednak na nic się nie przydał, bo mysio przyszedłszy

wieczorem do ścierwa, najzupełniej zadowolił się jedną kulą kal. Nr. 14., która mu na 25 kroków serce przeszyła.

* * *

Będąc w górach, nastawiałem zawsze żelaza (łapki) na zwierza drapieżnego t. j. niedźwiedzia, rysia i wilka i udawało mi się dość często, którego z nich dostać, albowiem złapałem w przeciągu lat jedenastu: niedźwiedzi 9, rysiów 13, wilków 10 i lisów 3, a nadto 8 wydr i 2 tchórze. Najczęściej trzeba było zwierzynę złapaną — dobijać, a miałem przytem następujący wypadek z mysiem. W miesiącu październiku, przybiegł około 4-tej popołudniu do mnie, zdyszany strażnik i zameldował „że medwid' je w żelizi" w potoku Bereznyj. Chwyciwszy puszkę i kilka patronów, udałem się jak najśpieszniej, na to miejsce, oddalone od pomieszkania o dwa km. Przybywszy do lasu nad potok, gdzie było żelazo nastawione, poszliśmy wolno za znakiem, jaki nam zostawił mysio, ciągnąc ciężki łańcuch z trzema hakami, po ziemi. Uszedłszy może 100 kroków, usłyszałem naraz przed sobą okropny ryk, lecz mysia nie mogłem zobaczyć, ten bowiem po drodze przelazł przez stary, na ziemi leżący, około 1·5 m. grubości pień i dopiero za nim zaczepił hakiem o świerk 12 cm. grubości i dalej nie mógł się już ruszyć. Posuwałem się więc czem raz bliżej, by go módz zobaczyć i tak zbliżyłem się prawie na 30 kroków. Niedźwiedź bez przerwy ryczał i szamotał się tam, a czując mię zbliżającego się, raptem wyskoczył na ten leżący pień, a że łańcuch był nieco krótszy, niedźwiedź zaś przednią łapę miał w żelezie, więc rozumie się, wywrócił kozła i tak przewisł przez kłodę, ale równocześnie w jakiś sposób i hak wyrwał się, a tem samem mysio nie był więcej przypięty.

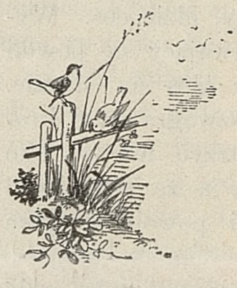
Poczuwszy się więc wolnym, w mgnieniu oka zerwał się, zobaczył mię i zrobiwszy jeden mały skok naprzód (do wielkiego nie dopuszczały kleszcze i łańcuch) zamruczał i podniósł się na tylne łapy, ale w tej samej chwili dostał kulę w pierś. Przewrócił się, strasznie zaryczał i począł się tarzać i próbował wstawać, lecz druga kula położyła kres jego męczarni. Nie był to niedźwiedź duży (3—4 letni), ale bardzo ładny.

Nadmienić tu jeszcze muszę, że zaraz po pierwszym ryku, strażnik znikł — a gdym go później pytał, dlaczego to uczynił — odpowiedział: Ja hadau, szczo to duże wełykij medwid' ta nas ubje, bo jak zarykau, to aż zemla sia triasła, a pid mną nohy — dyl, dyl, dyl, i ja łedwy sia potiah! Oj! jakby to buw toj medwid' szczo tut zawsze woły, ta koni bje — toby nas buw pewno żywych ne pustyw!!

Pewnego razu, nastawiłem żelazo na przesmyku, którym dość często lubiał ryś przechodzić. W kilka dni później, udałem się na to miejsce, by skonstatować, czy w żelezie nie ma czego i znalazłem tylko łapę dużego rysia (przednią), którą odgryzł powyżej kolana. Ponieważ było to w zimie, więc za tropem poszedłem, który prowadził, prawie prosto z góry na dół, przez rzekę i znowu do góry naprzeciw leżącej i znalazłem rysia, pod świerkiem skulonego, ale widocznie tak osłabionego, że nie mógł uciekać, bo przybliżyłem się doń na 10 kroków i strzałem śrótowym dobiłem. Przy ściąganiu skóry okazało się, że zaledwie kilka kropel krwi miał w sobie. Prawdopodobnie siedział w łapce dłuższy czas, że wszystka krew ściekła i ostatecznie uwolnił się, odgryzając łapę, co mi się nigdy nie zdarzało znaleść, pomimo, że zastałem kilkakrotnie rysia w żelezie nieżywego.

Dwukrotnie zdarzyło mi się znaleść w żelezie, a względnie obok tegoż, głowę głuszca, który przypadkowo dostał się tam, a którego ryś podczas swych spacerów znalazł i zjadł — zostawiwszy tylko głowę i nogi.

Tak samo znalazłem w słopie t. j. — w łapce na niedźwiedzie — pozostawioną, jak by na urągowisko, całą kitę lisa, który trącił spust, ale zdołał całą swą szanowną osobistość prędko przesunąć i spadający zabijacz pochwycił tylko kitę, która tam została. Nie mogłem jednak skonstatować, czy ją lis odgryzł, czy urwał! Pomimo tego, lisiura nie długo cieszył się swym pobytem, albowiem w krótkim czasie, nie mógł się wstrzymać od rozgryzienia rzuconej gałki, napełnionej strychniną i osmarowanej dobrze starą bryndzą, po której mu się zaraz źle zrobiło, a tym sposobem zostawił, a względnie oddał mi dodatkowo do kity — całą swą koszulkę. Bardzo śmiesznie wyglądała lisiura bez swej, paradnej kity.



# Przygoda podczas polowania na jelenie.

(Z angielskiego).

Nie jest wcale łatwą rzeczą, rozpoznawać poszczególne odmiany amerykańskich jeleni: nawet przyrodnicy są nieraz, w tej mierze, w niepewności.

Nam wystarczy główny podział; wirgińskie jelenie odznaczają się, jak wiadomo, białym bukietem, mazańskie natomiast mają albo czarny, albo też długi kwiat (*macrotis et leucurus*).

Między jeleniami o czarnym bukiecie odszczególnia się jeleń-muł, który ma tak długie łyżki, że sięgają połowy rosoch; bukiet pokryty jest delikatną siercią, czarną jak węgiel, co tworzy doskonały pendzel.

Zazwyczaj nie czynią różnicy między jeleniem, o czarnym a długim bukiecie, a jednak oba te gatunki, różnią się zasadniczo między sobą. Jeleń, o czarnym bukiecie, jest o wiele większy, ma natomiast krótsze badyle, ciało więcej sprężyste i cały układ ciała silniejszy. W czasie ucieczki skacze, podnosząc odrazu wszystkie biegi; bieg jelenia, o czarnym bukiecie, podobny jest biegowi jelenia zwyczajnego, który z początku kłusuje, następnie uczyni skok, a dalej kłusuje znowu. Ogon jego ma 18 cali długości. Podczas ucieczki ma ogon wyprężony i kiwa nim ciągle, z jednej strony w drugą, co na widza wywiera szczególne wrażenie.

Często można spotkać oba gatunki obok siebie, w lesistych miejscowościach, jakkolwiek ulubionem miejscem ich pobytu są preryе, zwłaszcza części ich porosłe krzakami i przesiąknięte bagnami.

Przebywają w zachodniej części amerykańskiego lądu tudzież krainy, rozpościerającej się od rzeki Missisipi do oceanu Spokojnego. Ojczyzna jelenia o czarnym bukiecie rozciąga się jeszcze dalej ku południowi; znachodzi się on w obu Kaliforniach i górach Skalistych, aż do Texas: jeleń o długim ogonie przebywa najczęściej w Oregonie i Kolumbii, choć także we wschodnich górach Skalistych: nigdy jednak na wschodniem pobrzeżu rzeki Missisipi: tam nastaje kraina jeleni wirgińskich.

Przyrodnik nasz, doktor, również dobry myśliwy, udał się przed kilku laty nad brzegi Oregonu, gdzie poznał właściwości i zwyczaje jelenia o długim bukiecie. W obozie, zajął nas bardzo opowiadaniem o strasznej przygodzie, której doznał w czasie łowów na rzece Kolumbii. Podróżując przez góry Skaliste — opowiadał — chciałem dotrzeć do twierdzy Vancouver, lecz skutkiem ważnych okoliczności, musiałem się zatrzymać na kilka dni w niewielkiej wiosce, stacyi handlowej, rozpościerającej się nad potokiem, wpływającym do rzeki Kolumbii. Tam wyczekiwałem handlarzy skór, z którymi miałem odbywać dalszą podróż, a którzy nie mogli jej rozpocząć, przed spakowaniem swych bagaży.

Była to śliczna kraina. Wśród płaszczyzny, występowały tu i owdzie pagórki, owalne u szczytu, lecz strome po bokach, porośnięte gromadami krzewów, jak orzechami laskowymi, różnymi rodzajami morw, krzakami malin, ożyn, krzakami podobnymi do tarnki, lecz o rudo-czerwonych jagodach. Między krzakami zielenił się bujny, szmaragdowy trawnik, słowem, cała ta kraina wyglądała jak park, starannie utrzymywany. Teren ten, był jakby umyślnie stworzony dla jeleni.

Zarówno ja, jak kupcy, musieli się ograniczyć na zwierzynę, która dostarczała wszystkim codziennego pożywienia. Wskutek tego, natychmiast po mojem przybyciu, poczyniłem przygotowania, aby módz rozpocząć łowy. Wybrałem się na polowanie w towarzystwie swego służącego, mieszańca o ciemnej barwie, który już z pochodzenia swego, był jak najlepszym przewodnikiem, w tego rodzaju wyprawach. Zresztą, był to bardzo dobry myśliwy.

Z początku szliśmy, przez jakiś czas, brzegiem potoku. Przebywszy około milę drogi, nie zoczyliśmy ani jednego jelenia, ba nawet żadnej zwierzyny, skutkiem czego nawet straciłem humor, ale służący mój zaproponował, byśmy opuścili koryto rzeki i udali się między pagórki, gdzie wedle jego mniemania, prędzej mogło się cokolwiek, pod strzał nasunąć. Tak też uczyniliśmy. Przez gęste krzewy przedzieraliśmy się, przechodząc od jednego pagórka ku drugiemu. Czujnemu naszemu wzrokowi nie mogło ujść nic, coby się było ukazało na wolnych miejscach.

I rzeczywiście, w krótkim czasie udało nam się ujrzeć kilka sztuk zwierzyny. Ale równocześnie z poza krzaków, w których skryliśmy się, dochodziły nas niezwykłe dźwięki, jakie wydostają się z lufy, jeżeli probujemy na niej zagrać. Głosy te wydawały jelenie. Musiało coś zajść, co usprawiedliwiało ich zachowanie się, gdyż zwierzyna okazywała taką płochliwość, że po siedmiu, pełnych godzinach pokryjomego posuwania się i to na czworakach, nie udało się nam zejść ani jednego jelenia na strzał.

Co je tak spłoszyło?

Nie mogliśmy tego dojść, dopiero później dowiedzieliśmy się, że niedawno gromada Indyan polowała tu i że łowy te były tak gruntowne, iż zwierzyna nie mogła się uspokoić po doznanym lęku. Również odnaleźliśmy na naszej drodze ślady Indyan, zaś w innem miejscu, przypadkiem, czaszkę jelenią z rosochami, zawieszoną na gałęzi drzewa, tak wysoko, by jej lisy i wilki, nie mogły dosięgnąć. Odkrycie to wzbudziło w mym towarzyszu nagłą radość.

„Skorobym miał coś jeszcze, mój panie, rzekł służący „Niebieski Dick“, ręczę, że ubiłby pan nie jednego długo-chwosta, czyby on tam był spłoszony, czy też nie“.

„Potrzeba ci czego? Czegoż ci zatem brakuje? pytam go.

„Rzeczywiście, jeszcze mi czegoś potrzeba, ale dałoby się to znaleść, gdybyśmy zeszli tam, ku dołowi“.

Tu Dick wskazał mi grunt, niżej leżący, bagnisty i w tej chwili jużeśmy zmierzali ku niemu.

Zaledwie doszliśmy do brzegu bagna, towarzysz mój obwieścił radośnym okrzykiem, że znalazł, czego szukał. Ot, panie, macie tę roślinę. Patrzcie tylko! I Dick wskazał mi, nad samym brzegiem bagna, znajdującą się roślinę — *masterwort* — zwaną powszechnie „krowim pasternakiem“. Natychmiast wyjął Dick ze skórzanej pochwy myśliwski nóż i uciął łodygę rośliny, a przyciąwszy ją na długość sześciu cali, zaczął z niej tworzyć rurkę, podobną do piszczałki, na której dzieci grają, a następnie przyłożywszy ją do ust, zaczął w nią dmuchać. Szczególny ten instrument wydawał gwizdające tony, bardzo podobne dźwiękom — któreśmy słyszeli wydawane przez jelenie, czem bardzo byłem zdziwiony.

Przewodnik mój począł się śmiać z radości, a zwróciwszy ku mnie rozpromienione wskutek odniesionego zwycięstwa oblicze — pokazywał mi wabik, tuż, tuż, na ukończeniu.

„Teraz, panie, upolujemy na pewno jednego z tych rogali!“ Nie tracąc więcej słów, podniósł czaszkę jelenią i skinął na mnie, bym szedł w jego ślady. Szliśmy dość prędko, przedostając się przez krzaki i gąszcze, przyczem zachowywaliśmy wszelką możliwą przezorność. Postąpiwszy w ten sposób kilkaset kroków, usłyszeliśmy znowu ostrzegający poryk jelenia.

„Ten będzie nasz“ szepnął Dick. Schylcie się, panie, ku ziemi, pod krzaki, ot tak!“

Naśladując Indyanina, przykucnąłem pod gęstym krzakiem. Towarzysz mój schylił się wprawdzie tak, że go dojrzeć nie można było, lecz równocześnie wzniósł czaszkę jelenia w górę, tak, by rogi przedostawały się po za krzaki i by je można było z niezarosłych miejsc widzieć.

Skorośmy się umieścili wygodnie, Dick przytknął do ust gwizdawkę i wydobył z niej kilka dźwięków. Prawie równocześnie, usłyszeliśmy szelest i głosy, które świadczyły, że jakieś zwierzę poskoczyło ku nam. Wkrótce potem pojawił się, w oddaleniu 100 kroków na wolnem miejscu, piękny jeleń między krzakami. Zatrzymał się nagle, położywszy łeb na grzbiecie, tak, że wieńce jego prawie dotykały ziemi.

Wielkie jego, kuliste świece patrzały w około, po niezarosłych miejscach — jak gdyby wypatrywały przedmiotu, dotychczas niespostrzeżonego. W tej chwili, wydał Dick powtórny, wabiący głos i potrząsł czaszką jelenią, zupełnie tak, jak to czyni jeleń, przejęty wzruszeniem lub gniewem. Jeleń ujrzał rosochy i był tego przekonania, że wystawił je jego rywal, a to tem bardziej, że równocześnie usłyszał, dobrze mu znany, poryk.

Wspiął się na wszystkich badylach, a schyliwszy łeb najeżony straszną bronią, przyjął wyzwanie i garnął cwałem ku nam.

Wedle rady Dicka, trzymałem w pogotowiu strzelbę przy twarzy, toteż zaraz pociągnąłem za cyngiel. Stało się, jakeśmy przewidywali — jeleń był nasz.

Teraz rozpoczęła się skrzętna praca. W przeciągu pół godziny jeleń był wypatroszony, obielony a kawałki mięsa porozwieszaliśmy na gałęziach, by ich wilki nie dosięgły. Potem zastosowaliśmy opisany już sposób wabienia powtórnie i udało się nam ubić drugiego jelenia. Ponieważ pora była już spóźniona, zaniechaliśmy dalszego polowania, a obładowawszy grzbiety kawałami ubitej zwierzyny, rozpoczęliśmy powrót.

Szliśmy miejscami wzdłuż rzeki, a w ten sposób mogliśmy się nacieszyć widokiem jeleni, chcących się napoić, lecz przy naszem objuczeniu, nie mogliśmy nawet myśleć, o pomyślnym strzale. Tymczasem, w bujnej wyobraźni Dicka zrodziła się nowa myśl, którą mi zaraz zakomunikował, a na którą zgodziłem się natychmiast. Chodziło o polowanie, przy świetle pochodni, ale nie w ten sposób, jak to wykonują myśliwi dalekiego wschodu, przechodząc przez las z pochodniami w ręku. Nasz zamiar polegał na tem, byśmy się postarali o czółno, byśmy utrzymując na niem ogień, jechali wolno, z prądem rzeki i byśmy, wedle przyjaźnych konjunktur, strzelali do zwierza, jawiącego się na brzegu rzeki.

Nie wspominając o tem nikomu, poczyniliśmy zaraz nazajutrz skrzętne przygotowania do obmyślanych łowów. Przedewszystkiem, trzeba było wystarać się o odpowiednie czółno. Za małą miarkę prochu strzelniczego, pożyczył nam jakiś stary Indyanin zaledwie z grubsza ociosanego a dobrze już zużytego, czółna. Jako paliwo, miał nam służyć zapas suchych, smolnych szczap, o które tu nie było trudno, zaś na przegrodzenie czółna, ogromny kawał kory z odartego buka. Do wieczora były wszystkie przygotowania pokończone, wsiedliśmy do czółna, pozostawiając mu swobodny bieg po spokojnym prądzie rzeki. Dopłynąwszy do miejsca łowów, zanieciliśmy na przodzie czółna, ze szczap, któreśmy poprzednio wysuszyli, ogień w płytkiej, blaszanej fajerce. Ogień ten, tlejąc, rozlewał jasność po całej powierzchni wody a równocześnie rzucał czerwonawe światło na wszystkie przedmioty, znajdujące się, po obu brzegach rzeki. My sami, pozostawaliśmy w zupełnych ciemnościach, ponieważ umieściliśmy korę bukową między sobą a ogniem.

Jak długo płynęliśmy z prądem, pozostawiłem wiosło w rękach Dicka, który spełniał dwie funkcye: kierował czółnem i podniecał ogień. Ja miałem rozglądać się w okolicy. W tym celu umieściłem strzelbę na kolanach i siedząc, badałem oczami oba brzegi rzeki, w miarę, jak nas prąd unosił. Ciągle zmieniające się, nasze otoczenie, oświecane błyskami płomieni, rzucanymi z czółna, przedstawiało niezwykły, prześliczny widok, który podziwiałem, tłumiąc w sobie głos. Równocześnie dusza wznosiła się do Pana wszechpokoju.

„Baczność — patrzcie w tę stronę“ ocknęły mię z marzenia przytłumione słowa. Tak zwrócił Dick moją uwagę, a równocześnie ujrzałem w cieniu, który rzucała bukowa kora, jego ramię, wyciągnięte ku prawemu brzegowi. Pobiegłem tam oczami: ujrzałem dwa punkty, świecące w ciemnościach leśnych. Oczy te żarzyły się, lśniły i świeciły, jak gdyby były z fosforu. Oba światła były kuliste, zbliżone ku sobie.

W okamgnieniu, rozpoznałem oczy pewnego zwierzęcia, oczy o blasku, od którego odróżniał się ogień, rzucany przez naszą łódź. Do tego szepnął mi Indyanin, że to są „świece“ jelenia.

Chwyciwszy strzelbę, zmierzyłem, celując jak najdokładniej między te świece i wypaliłem. Prawie równocześnie z wystrzałem, usłyszeliśmy, że jakieś cielsko runęło w rzekę: pryskające ognisko oświeciło widownię przed czółnem a my ucieszyliśmy się wielce, widząc na wodzie, bezwładne cielsko ubitego jelenia. Prąd zaczął je unosić, ale Dick chwycił zwierzę za wieniec i wciągnął, przy mej pomocy, na czółno. Po tym akcie, płynęliśmy dalej, przenikając wzrokiem tajnie obu brzegów, między któremi, największy czar dla nas miało „dwoje świecących oczu“. I tak, w pół godziny spostrzegliśmy znowu coś podobnego, a że nam się powiodło, tego dowodziła ubita łania, którąśmy także wciągnęli do czółna.

Niepotrzebuję chyba nadmieniać, że urok tego, niezwykłego polowania, kazał nam o wszystkiem zapomnieć. W szczególności o tem, żeśmy się oddalili znacznie od naszej stacyi i że w drodze powrotnej, która wypadnie przeciw prądowi, będziemy mieli do zwalczenia mnogie trudności. A jednak, był już najwyższy czas pomyśleć o powrocie, już z tego powodu, że zasób naszych szczap miał się ku końcowi: Dick właśnie ostatnią dokładał...

W tej chwili, zwróciły moją uwagę dwa kuliste, świecące punkty, które błyszczały za krzakiem, na lewym brzegu rzeki. Bezwątpienia, były to oczy jakiegoś zwierza, ale którego rodzaju, nie można było dokładnie osądzić. Wprawdzie zdawało mi się, że to nie były „świece“ jelenia, ale czyż myśliwemu nie przysługa prawo również do innej zwierzyny?

Zmierzywszy się, wypaliłem...

W tym momencie, doszły mego ucha słowa Indyanina, przestrzegające przed strzałem. Zdziwiłem się, lecz już było za późno, bym usłuchał jego przestrogi, którą przygłuszył grzmot wystrzału. Popatrzyłem, w danym kierunku, ku brzegowi, chcąc ujrzeć skutek, ale ku memu wielkiemu zdziwieniu, światła owe, w krzaku, żarzyły się silniej, zupełnie tak, jak gdyby wyrzucały iskry.

Czyżbym chybił?

Prawdę mówiąc, słowa mego towarzysza wyprowadziły mię cokolwiek z równowagi, pomimo to jednak, zmierzyłem się dobrze i kula niezawodnie dosięgła celu.

Właśnie zwróciłem się do Dicka, by go spytać, co sądzi o całej sprawie, gdy ryk niezwykły wszystko mi wytłumaczył, wzbudzając we mnie przestrach i grozę. Był to ryk podobny temu, jaki wydaje odyniec, w przystępie wściekłości, z tą jednak odmianą, że ryk ten

był o wiele silniejszy i groźniejszy. Ryku takiego dotąd nie słyszałem nigdy — w ten sposób zaryczeć. mógł tylko potężny. dziki niedźwiedź. t. z. grizzly. który napawa strachem wszystkich myśliwych. (D. n.)

# Korespondencye.

Trościaniec.

Szczęśliwy! Stokroć szczęśliwy. hrabia Władysław Tyszkiewicz. Napisał bowiem. dla wzbogacenia nauki o faunie zbaraskiej. artykuł i twierdzi. że dopełniwszy tej obywatelskiej funkcyi, będzie mógł umrzeć spokojnie. Po trzykroć więc razy. powtarzam „szczęśliwy“.

Po pierwsze: że jakkolwiek Szanowny Korespondent sam się wyraża. dopełnił *„pro publico bono“* funkcyi pisarskiej w *„Łowcu“* raz tylko w życiu. dopełnił jej tak pięknem i miłem piórem. ze zachęcił i tych. którzy nigdy nie mieli pretensyi. do wystąpienia jako autorowie. choćby najdrobniejszej korespondencyi. w tak pokaźnem piśmie, jak *„Łowiec“*. Dziękując więc za już. prosimy (czytelnicy) o jeszcze. a wiadomą jest rzeczą. że najszczęśliwszym jest ten. który dawać może.

Po drugie: że nie znajdzie niewiernych Tomaszów. na swej drodze. jak stwierdzi poniżej opisanie podobnego wypadku. o kociej miłości macierzyńskiej, w obec zajęcy i innych zwierzątek. przynaglonych potrzebą kociej opieki.

Po trzecie: Najszczęśliwszym jest Szanowny Korespondent z tego względu. że obiecuje sobie umrzeć spokojnie. Ach! bo „u nas inaczej“. Tam. w Zbaraskiem. dobrze się jeszcze dziać musi. kiedy są szczęśliwcy. obiecujący sobie tak rozkoszną rzecz. jak śmierć spokojna. Na Pokuciu i tego nie masz. Tam — w tym szczęśliwym kraju, może panują. gdzie w zaroślach. duchy Jaremów i Skrzetuskich i odpędzają złowrogie mary. w czarnych żupicach, z pejsami, w braku Chmielnickich. którzy w ciężkich czasach dzisiejszych. wydają się nam jeszcze anielsko lepsi. od wyżej wymienionych. czarnych prześladowców. A może. to tylko pan hrabia jeden, nie ma malutkiej wioseczki. a w niej żyda dzierżawcy. którego by się bał. gorzej niż Skrzetuski topieli zbaraskich.

O! „u nas inaczej“. i na łożu śmierci. zdarza się często. że stoi ciemny anioł nad nami i chłodzi rozpalone skronie jarmułką, jak wampir, dla chwilowego ocucenia i wymożenia świeżych podpisów na wekslach (zdarzenie prawdziwe). Jeżeli więc. w Zbaraskiem inaczej, to i dobrze — bo miło wiedzieć. że gdzieś. w naszym kraju biednym. jest jeszcze trochę lepiej, aniżeli u nas. nie będąc zaś z natury zazdrosną. przesyłam Wam. drodzy rodacy „z krainy łez i rozpaczy“ serdeczne „szczęść Boże“.

Teraz zaś. w braku grubszej zwierzyny. której ja ani widzę. ani łowię. piszmy o kotach i o ich poświęceniu i bezinteresowności. to jest. o rzadkiej już dzisiaj cnocie. która, zdaje się. jakimś dziwnym kaprysem natury. przeniosła się z ludzi. na koty.

Otóż przed kilkunastu laty. dostały moje dzieci malutkiego zajączka. nowonarodzonego, tak zbiedzonego. iż o wykarmieniu go łyżeczką podawanego mleka. mowy być nie mogło. na szczęście. w tym samym czasie mieliśmy kotkę w domu z małemi kociętami, a któreś z dzieci poddało myśl. podsadzenia jej tego zajączka. Z początku. przytrzymywały dzieci głowę kotki. z obawy, ażeby go nie pożarła, lecz po krótkim przeciągu czasu, kotka spokojnie się zachowująca, poczęła lizać zajączka i uważać na niego tak. jak i na swoje kocięta, zostawiliśmy więc zajączka w jej legowisku. bez żadnej obawy. Ale biedna kotka. miała wkrótce kłopot ze swojem przybranem dziecięciem, gdyż podrósłszy. uciekał jej zając co chwila. z łóżka na podłogę i chował się w róg pokoju. przytulając główkę do ściany. sądził bowiem. że nie widząc sam kotki i przez nią nie będzie spostrzeżonym. kotka więc biedna, musiała go wyszukiwać i nosić w zębach na powrót. na miejsce. Z czasem wyglądało to zabawnie. kiedy zajęczyska dużego nie mogła przybrana matka udźwignąć w zębach i wynieść na łóżko. ciągnęła więc zębami za uszy delikwenta. aż do łóżka. gdzie trzeba ją było wraz z zającem podnosić.

Drugi wypadek. równie ciekawy. zdarzył się u nas. kiedy byłam jeszcze małą. Dostałam od mego dziadka śliczne małe kociątko. W tym samym czasie zaś, miała u nas mała mopsica szczenięta: kociątko przysunęło się do mopsicy i użyło uczty wspólnie ze szczeniętami. Od tego czasu. trudno było rozłączyć tę szczęśliwą rodzinę, aż do zupełnego wykarmienia. W rok. czy dwa lata później, miała kotka kocięta. a równocześnie. mopsica zginęła przy urodzeniu się szczeniąt. a że mieszkały obie matki w jednym pokoiku. więc po śmierci suczyny, kotka zaopiekowała się szczeniętami i wykarmiła wszystkie. wraz ze swojemi dziećmi. Pytam więc. czy to wdzięczność skłoniła ją do tego kroku? Jeżeli tak. to bardzo smutno dla nas ludzi. bo z nami dzieje się zwykle w ten sposób. że lubimy być jak najdalej od swoich dobroczyńców. *Helena Grochowska.*

---

Sokołów koło Stryja. 20 października 1901.

Na polowaniu w Sokołowie. które się odbyło 16, 17. 18 i 19 b. m. dwa dni w 7 strzelb, jeden dzień w 6 strzelb. a jeden w 4 strzelby, ubito: 4 rogacze, 2 lisy, 1 cietrzewia. 17 bażantów. 32 słonek. 3 kuropatwy. 1 kszyka. 2 sowy i 29 zajęcy — razem sztuk 91, padło strzałów 294.

*Stanisław Matkowski.*

# Kalendarz łowiecki.




W listopadzie ochrania ustawa jelenie, gołębie dzikie, i przepiórki.

Uprasza się wszystkich P. T. Członków, którzy dotychczas nie uiścili wkładki za rok 1901 i poprzednie lata, by raczyli zaległości jak najrychlej nadesłać, gdyż w przeciwnym razie może z braku funduszów nastąpić zwłoka w wydawnictwie naszego pisma.

*Administracya Łowca.*



Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.